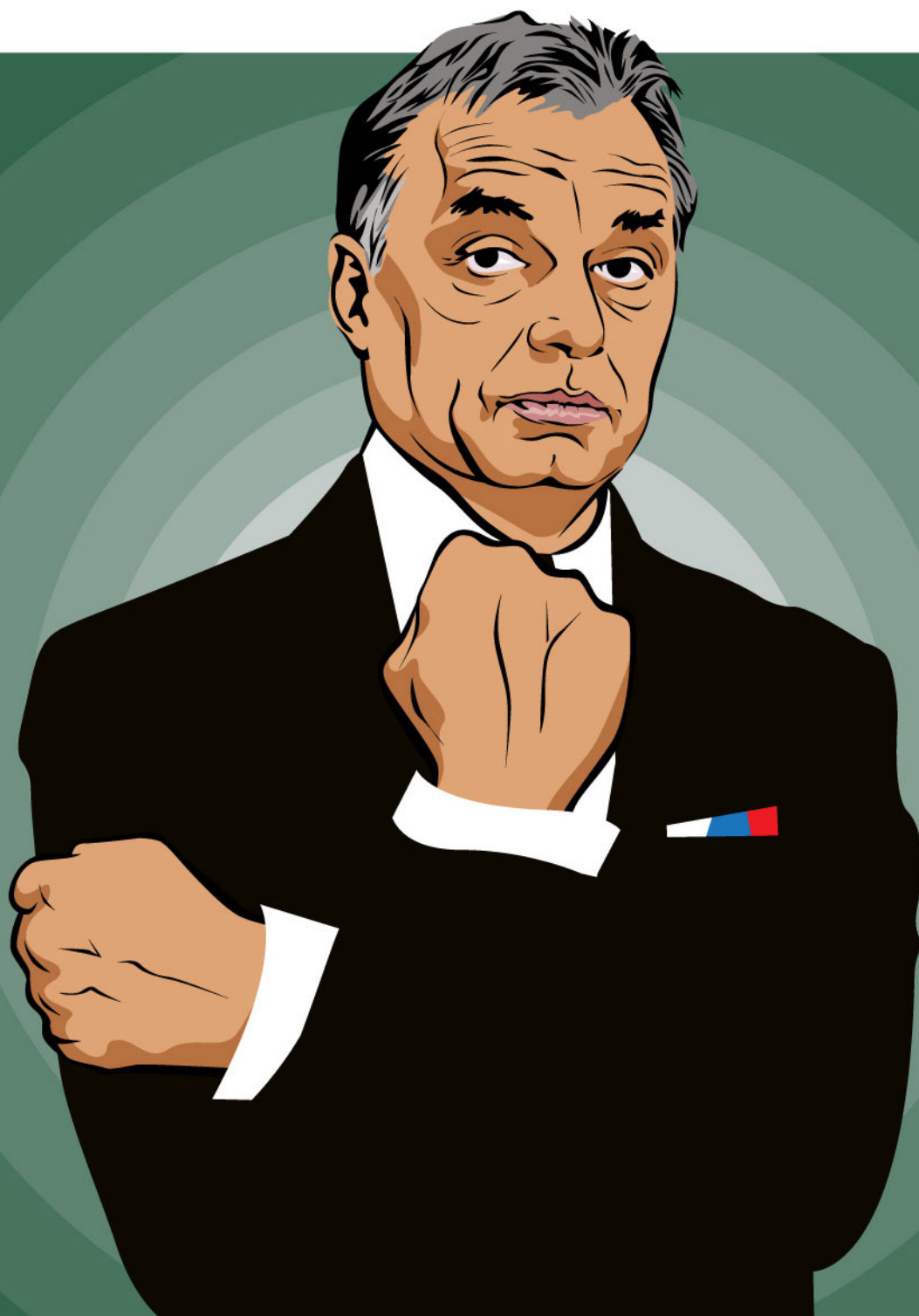


NOWA KONFEDERACJA nr 15 (27)/2014

10 kwietnia—16 kwietnia

INTERNETOWY TYGODNIK IDEI

cena: 0 zł



VIKTOR I DEKOLONIZATOR

**DOKĄD PROWADZI WĘGRY?
CZEGO UCZY POLAKÓW?**

W numerze:

Księżę czardasza

Michał Kuź 3

Budapeszt daleko od Warszawy

Bartosz Światłowski 7

Gulaszowa demokracja

Z Tamásem Borosem rozmawia Aleksandra Rybińska 11

Smoleński zbuk

Bartłomiej Radziejewski 15

Rwanda. Zbrodnia neokolonialna

Witold Kieżun 18

Ułani, ubecy i umarłe miasto

Joanna Szwechłowicz 21

Książę czardasza



MICHAŁ KUŹ

Redaktor „Nowej Konfederacji”

Orbán jest sumieniem Europy Środkowej, UE, MFW oraz NATO. Swoim sąsiadom oraz organizacjom międzynarodowym wystawia bowiem rachunek za słabość, brak solidarności i wspieranie neokolonializmu.

Swego czasu porównałem Viktora Orbána do księcia z tekstu Machiavellego. Sądzę, że to porównanie przetrwało próbę czasu. Premier Węgier jest politykiem przebiegłym i pragmatycznym do bólu, lecz nie cynicznym. W swojej własnej opinii, a także, jak pokazały ostatnie wybory, w oczach większej części rodaków służy on bowiem interesom Węgier. Węgier ponad wszystko. Nie zważa na zyski tej czy innej koterii, jak robią polityczni cynicy. W odróżnieniu od idealistów nie interesują go jednak również honory, sojusze, z których nie ma korzyści, i wielkie projekty, z których nic konkretnego nie wynika.

Nie, Orbán twardo stąpa po ziemi i widzi swoje Węgry takie, jakimi one są. Węgry to zaś mały kraj pośrodku coraz mniej stabilnego politycznie i ekonomicznie kontynentu. Niektóre środki zaradcze, jakie premier Węgier zdecydował się zastosować, nie mogą się Polsce podobać. Mimo to musimy dostrzec, że Orbán jest sumieniem Europy Środkowej, UE oraz NATO. Swoim sąsiadom oraz organizacjom międzynarodowym wystawia bowiem

wysoki rachunek za ich słabość i brak solidarności. A czasami wręcz wyraźną złą wolę.

Nowa polityka i nowa gospodarka

Po objęciu rządów Viktor Orbán naraził się zarówno Unii Europejskiej, jak i Międzynarodowemu Funduszowi Walutowemu – dwóm instytucjom, którym od dawna nikt nad Balatonem nie śmiał się sprzeciwiać. Premier Węgier stosował przy tym otwarcie retorykę antykolonialną.

„Dla zagranicznych firm era kolonizacji Węgier się skończyła” – podsumował niedawno swoje działania. Okazał się bowiem zdeklarowanym wrogiem Konsensusu Waszyngtońskiego narzucającego peryferyjnym gospodarkom niekontrolowaną wyprzedaż swoich zasobów. Na Węgrzech wprowadzone pod rządami Fideszu wysokie opodatkowanie zagranicznych banków sprawiło np. że zaczęły one sprzedawać swoje filie bankom węgierskim, co doprowadziło do faktycznej mdyaryzacji sektora.

Węgry pod przywództwem Orbána odrzuciły też kategorię rozwiązań zastosowane przez MFW w Grecji i Hiszpanii. Z przyznanych przez Fundusz 20 mld euro Budapeszt wykorzystał tylko 7,5. Dziury począł natomiast łączyć przez opodatkowanie zysków kapitałowych i zachodnich koncernów.

Konsekwentnie stymulowano również konsumpcję wewnętrzną. Zwiększano siłę nabywczą obywateli i poziom zatrudnienia np. poprzez obcięcie o 20 proc. opłat za elektryczność. Dodatkowo na złość wielkim funduszom inwestycyjnym rząd w Budapeszcie upaństwowił wszystkie świadczenia emerytalne.

Oburzaliśmy się wciąż na bierność Zachodu wobec poczynąń Rosji. Orbán zaś wyciągnął wnioski i wymierzył polskiej polityce policzek. Był to jednak policzek zasłużony

Efekty? Węgierska gospodarka rośnie obecnie w tempie 2,7 proc. (prawie dwa razy szybciej niż w Polsce). Bezrobocie jest najniższe od 2009 r. Dodatkowo państwo jest niezwykle zdyscyplinowane budżetowo. W zeszłym roku Budapeszt spłacił wszystkie swoje zobowiązania wobec MFW. Pół roku przed terminem!

W międzyczasie sam Fundusz przyznał, że narzucanie ostrych programów oszczędnościowych w zamian za pożyczki było „fundamentalnym błędem”. Rząd Orbána nie miał jednak już do niego i jego deklaracji cierpliwości. W połowie lipca

2013 r. György Matolcsy, prezes węgierskiego banku centralnego, poinformował w specjalnym piśmie, że Węgry chcą zamknąć przedstawicielstwo MFW w Budapeszcie. Fundusz musiał się dostosować.

Pomimo sukcesów gospodarczych przyjęta w 2012 r. konstytucja wzbudziła również wiele uzasadnionych kontrowersji, zwłaszcza ustępy zakazujące prowadzenia kampanii wyborczych w prywatnych stacjach telewizyjnych oraz ograniczenie uprawnień trybunału konstytucyjnego i banku centralnego.

Orbán miał jednak na swoją obronę to, że bez nowych zapisów oraz drastycznego skrócenia wieku emerytalnego sędziów nie byłoby możliwe przeprowadzenie realnej dekomunizacji. Opór ludzi związanych z dawnym systemem byłby zbyt duży.

Ale oczywistym minusem ograniczenia funkcji trybunału jest to, że bez tego proceduralnego hamulca mający większość konstytucyjną Fidesz pozwala sobie na coraz większą legislacyjną ekstrawagancję. W zeszłym roku wprowadzono np. częściowy zakaz handlu tytoniem. Dziś papierosy można kupić tylko w bardzo nielicznych narodowych sklepach tytoniowych. Smaczku sprawie dodaje to, że na blisko 5 297 planowanych sklepów 500 należy do przedsiębiorcy związanego z Fideszem. Nie ma też już kto bronić swobody mediów przed surowymi ustawami je regulującymi, a tę właśnie rolę poprzednio brał na siebie trybunał.

Jeśli nie Zachód, to co?

Spektakularne sukcesy musiały z Orbána uczynić pupila polskiej prawicy. Rzucone przez prezesa Kaczyńskiego motto „Budapeszt w Warszawie” stało się zaraz popularnym hasłem wśród zwolenników

PiS. Pragmatyzm premiera Węgier musiał jednak w końcu zderzyć się z polskim romantyzmem.

Orbán jest bowiem zmuszony współpracować z różnymi partnerami i równoważyć ich wpływy. Idąc na rękę UE, Fidesz przed wyborami złagodził np. kilka kontrowersyjnych zapisów konstytucyjnych. Komentując swój stosunek do UE, Orbán stwierdził zaś, że nie trzeba Unii kochać, aby z nią współpracować, gdyż „kto nie siedzi przy stole, ten trafia do karty dań”.

Premier Węgier jest jednak również zdeterminowany, aby nie trafić do karty dań serwowanych na Kremlu. W styczniu podpisał z Rosatomem umowy o budowie nowych bloków elektrowni atomowej Paks, otrzymując przy tym „10 mld euro kredytu dzielonego przez rząd rosyjski”.

Jakiż popłoch musiał zapanować wśród polskich prawicowców, kiedy po konsekwentnie odrzucanych przez Orbána zalotach PiS nagle ujrzeli swojego idola ściskającego prawicę Putina. Czyżby na przywódcy Węgier nie zrobiły wrażenia prezentacje smoleńskie Antoniego Macierewicza i rozkręcający się podówczas Euromajdan?

Można się było naturalnie jeszcze trochę ludzić. Jeszcze na początku marca węgierskie MSZ oficjalnie potępiało aneksję Krymu. Tematyka ukraińska poza kilkoma ogólnymi deklaracjami była jednak skrzętnie przemilczana. Ostatecznie zaś premier Orbán w autoryzowanym wywiadzie sprzeciwił się nakładaniu dalszych sankcji wobec Rosji jako działaniom, które nie służą ani Węgrom, ani UE.

Oburzaliśmy się wciąż na bierność Zachodu wobec poczynań Rosji. Orbán zaś wyciągnął wnioski i wymierzył polskiej polityce policzek. Był to jednak policzek zasłużony. Nie przewyciężyliśmy słabości naszego państwa i nie udało nam się

skonstruować sieci regionalnej współpracy. A przecież wobec słabego zaangażowania USA w sprawę NATO i zdominowania UE przez interesy Niemiec taka kooperacja jest więcej niż potrzebna.

Orbán dość długo czekał na „Budapeszt w Warszawie” i Wełtawę, sam o tym mówił jeszcze równo rok temu w wywiadzie jakiego udzielił „Magyar Hirlap”.

Na pytanie: „Czy to realne, żeby stworzyć ściśle środkowoeuropejskie porozumienie rozciągające się od Bałtyku do Morza Adriatyckiego w ramach Unii – albo jeśli, nie daj Boże, Unia się rozpadnie – zamiast niej?” odpowiedział w następujący sposób:

„Tak, to realne. Trudno dzisiaj powołać takie porozumienie, ale według mnie to realne. Nie jest przypadkiem, że dotąd w historii nie było czegoś takiego, bo poza tym, że wszystkie te kraje leżą w Europie Środkowej, nic innego ich nie łączyło. Ponadto często był to obszar zacofany i dzięki temu zagraniczne wpływy od polityki po gospodarkę były bardzo silne. Kiedy Europa Środkowa stwierdziła, że lepiej byłoby być razem, już dawno było na to za późno, bo jeden kraj już zajęto, a drugi podzielono. Sprawa rysuje się zatem tak, że mamy różne propozycje, które teraz omawiamy [...]. W tej chwili jednak wspólny rozwój gospodarczy jest, powiedzmy, niedostateczny... W ciągu ostatnich dwudziestu lat bardziej niż z Krakowem czy Koszycami jesteśmy związani z południowoniemieckim przemysłem, co nie wróży dobrze współpracy środkowoeuropejskiej”.

Polska a Węgry

Związki gospodarcze z Niemcami niosą zaś wciąż dla Węgier realną groźbę powtórzenia prędzej czy później scenariusza

greckiego. A skoro lokalna współpraca była niewystarczająca, to Węgrom pozostała tylko Rosja. Była ona dla Orbána tym naturalniejszym partnerem, że Węgry w odróżnieniu od np. Mołdawii i związanej z nią gospodarczo Rumunii czy też krajów bałtyckich (z ich rosyjskojęzycznymi mniejszościami) nie są obecnie na kremlowskiej liście „spraw do załatwienia”.

Czy z dość racjonalnych decyzji wobec Rosji podjętych przez Orbána wynika jednak, że Polska powinna pójść tą samą drogą? Bynajmniej. Polska nie jest krajem małym, nie może żyć nadzieją, że światowe potęgi pozwolą jej spokojnie żyć na uboczu ich interesów. Rosja postrzega nas jako ważną przeszkodę na drodze do odbudowy swojego dawnego imperium. Niemcom zbyt niezależna Polska nie pozwala zaś na zacieśnianie współpracy z Kremlem.

Dochodzą też do tego specyficzne czynniki kulturowe. W Rosji do łask wraca nowe euroazjatyckie wydanie słowianofilstwa. Inaczej niż na Węgrów, Kreml na Polaków „patrzy wciąż i z nienawiścią, i z miłością”, by zacytować poemat Aleksandra Błoka. Można też przytoczyć wy-

powieź Jarosława Kaczyńskiego z ostatniej kampanii prezydenckiej. Stwierdził on wtedy, że Polska będzie albo silna, albo nie będzie jej wcale.

Liderowi PiS brak politycznych umiejętności Viktora Orbána w konstruowaniu potężnych partii wygrywających raz za razem wybory. Ma jednak w zupełności rację, jeśli chodzi o naszą geopolitykę. Nasz sprzeciw wobec zachodniego neokolonializmu nie musi, a wręcz nie może pociągać za sobą bliskiego sojuszu z Rosją. Musimy starać się wybić na większą podmiotowość ekonomiczną oraz polityczną. Musimy konstruować regionalne sojusze.

Viktor Orbán to człowiek pragmatyczny. Jeśli dzięki nam otworzą się przed nim nowe możliwości, to chętnie z nich skorzysta. Wszak nawet Łukaszenko ostatnio wydaje się coraz bardziej zrażony do interesów z Władimirem Władimirowiczem. Wciąż istnieje realna szansa, by Europę Środkową wyrwać ze statusu biernego rosyjsko-niemieckiego pogranicza. Układ geopolityczny jeszcze nie został ostatecznie domknięty. Pytanie tylko, czy wystarczy czasu.

Budapeszt daleko od Warszawy



BARTOSZ ŚWIATŁOWSKI

Analitik Fundacji Dyplomacja i Polityka

Podczas gdy Orbán wzywa do „odwagi bycia wielkimi”, Kaczyński mistrzynie tworzy środowisko z gdzieś zaledwie migoczącą na horyzoncie szansą na skoncentrowanie prawicy. Obu więcej łączy, niż dzieli.

Jarosław Kaczyński tuż po przegranych w 2011 r. wyborach parlamentarnych zadeklarował, że niebawem w Warszawie „będzie Budapeszt”. Odtąd dla części komentatorów Viktor Orbán i jego partia Fidesz stały się papierkiem lakmusowym tego, co może stać się nad Wisłą z chwilą zwycięstwa wyborczego Prawa i Sprawiedliwości.

Dwie historie, dwa pragmatyzmy

Ścieżki polityczne Orbána i Kaczyńskiego wykazują zarówno znaczne różnice, jak i pewne podobieństwa. Ten pierwszy był baczny obserwatorem przesunięć na węgierskiej scenie politycznej. Dość szybko zrozumiał, że wobec aliansu dawnych sił opozycji liberalnej z postkomunistami oraz śmierci pierwszego niekomunistycznego premiera Józsefa Antalla wytworzy się próżnia po prawej stronie. Wiedział też, że jakiegokolwiek marzenia o wygranej były skazane na porażkę bez odpowiedniego zaplecza kapitałowego, instytucjonalnego i medialnego.

Dominacja lewicy w mediach jaskrawo dowodziła, że bez rewolucji w tej sferze nie będzie możliwy żaden przełom. Stąd już w tamtym czasie, to jest przed wyborami w 1998 r., Orbán uruchamia maszynę analityczną. Ekspertyzy, projekty i raporty mają ułatwiać wdrożenie programu suwerennych Węgier i wprowadzenie państwa do struktur zachodnich przez konserwatywną ekipę. Wytrwała praca procentuje i daje mu pierwsze zwycięstwo wyborcze.

W podobnym czasie Kaczyński wydaje się raczej tonąć wraz z całą prawicą w grzęzawisku animozji i sporów. Kiedy idea chadeckiego Porozumienia Centrum dobiega kresu, a pojawia się konfederacyjna w swej istocie i logice działania Akcja Wyborcza Solidarność, Kaczyński wciąż szuka dogodnego dla siebie miejsca. Wciąż jest jednym z wielu, nie rozgrywa, pozostaje w cieniu przeźroczyści Buzka i nieskuteczności Krzaklewskiego.

Nieco paradoksalnie na przełomie tysiąclecia mamy więc do czynienia z dwiema zasadniczo odmiennymi logikami roz-

woju politycznego życia. Po pierwsze, Orbán gra już w pierwszej lidze węgierskiej polityki. Jest antykomunistą i twardym politykiem podkreślającym suwerenność Węgier. Kaczyński w tym czasie stanowi zaledwie jeden z wielu prawicowych atomów zderzających się w pustej przestrzeni z innymi ciałami.

Po drugie, węgierski premier już wtedy staje się inkluzywny, przyciąga kapitał, środowiska, dziennikarzy. Kaczyński w tym okresie wciąż nie znajduje partyjnej formy, którą mógłby wypełnić reformatorską treścią.

Orbán rozgrywa partie w potężnej skali – mobilizuje wiele kręgów obywatelskich. Te różnego rodzaju małe partyjki, drobne środowiska, wciąga w orbitę Fideszu

Orbán wyraźnie ewoluuje, przechodzi kolejne stadia politycznego rozwoju. Z młodego opozycjonisty staje się kluczowym graczem po prawej stronie, a z czasem premierem rządu, który wprowadza Węgry do NATO i czyni kroki ku integracji z UE. Kaczyński odwrotnie – ze zręcznego sterownika systemu na początku lat 90. doznaje regresu, z czasem wypada z życia parlamentarnego. Coraz bardziej politycznie osamotniony, podzielający los rozbitej prawicy, staje się raczej przedmiotem wydarzeń niż ich kreatorem.

Na początku nowego wieku następują dwie dość zaskakujące okoliczności, potwierdzające doniosłość przypadku jako

czynnika przełomowego. Zmieniają one polityczne kariery zarówno Kaczyńskiego, jak i Orbána.

W wyborach parlamentarnych 2002 r. Orbán wbrew pozytywnym sondażom przegrywa starcie z socjalistami. To dotkliwa porażka, dowód na brak czujności. Zrozumie wówczas, że bez konsolidacji prawej strony nie będzie w stanie odbudować potencjału władzy.

Tymczasem sposobność do wyjścia z politycznego letargu dla Jarosława Kaczyńskiego pojawia się wraz z nominacją Lecha Kaczyńskiego na ministra sprawiedliwości. Zdobyta wówczas popularność pozwala na snucie planów założenia nowej formacji. W chwili, gdy jasne staje się, że AWS zmierza po równi pochyłej ku upadkowi, bracia Kaczyńscy znajdują wreszcie partyjną formę politycznego zaistnienia.

Różnice i podobieństwa

Te dwa sposoby odrodzenia się najlepiej oddają różnice i podobieństwa losów Orbána i Kaczyńskiego. Ten pierwszy działa w dużo bardziej stabilnych, przewidywalnych warunkach ustrojowych. Buduje politykę, prowadząc ugrupowanie po czteroletnim doświadczeniu władzy. System partyjny, promujący dominację największych formacji, sprzyja ugruntowaniu wpływów i rozbudowie struktur.

Kaczyński, kiedy już wyczuje koniunkturę na nowe ugrupowanie parlamentarne, staje się jednym z pretendentów. Prawdziwy przełom nadejdzie dla niego dopiero z chwilą korupcyjnej kompromitacji III Rzeczypospolitej i jej elit.

To pokazuje zasadniczą różnicę w rzeczywistościach politycznych, w jakich funkcjonują opisywani politycy. Z jednej strony pewna domknięta węgierska całość,

ograniczająca skuteczność ekstremalnych secesjonistów z większych partii (zarówno z prawa, jak i z lewa). Z drugiej, wbrew pozorom dynamiki wydarzeń z czasów ekipy Millera, system składający się na „zdziecinniałą Polskę”, przerywany incydentalnymi momentami olśnień i zrywów.

Orbán rozgrywa partie w potężnej skali – mobilizuje wiele kręgów obywatelskich. Te różnego rodzaju małe ugrupowania, drobne środowiska, wciąga w orbitę Fideszu. Już w 2002 r. jest w stanie jednorazowo skrzyknąć pół miliona demonstrantów. Działania prezesa PiS to wciąż bardziej intelektualna kalkulacja, opozycyjna aktywność i gabinetowy dobór najwierniejszych współpracowników. Jeden wzywa do „odwagi bycia wielkimi”, drugi misternie tworzy środowisko, z gdzieś zaledwie migoczącą na horyzoncie szansą na skoncentrowanie prawicy.

To, co z pewnością łączy obydwie postaci, to faktyczne działanie na rzecz równowagi systemu. Wierne wytrwanie przy antykomunistycznej postawie oznacza w istocie funkcjonowanie na zasadzie przeciwwagi dla postkomunistycznych wpływów. Jeśli za kryterium demokratyczności systemu przyjąć względną równowagę sił politycznych, to Kaczyński i Orbán z pewnością muszą uchodzić za głównych demokratów.

Jednocześnie nieco paradoksalnie obaj postawią na jedynowładztwo. W tym wypadku paralela jest dość czytelna – zebranie sił konserwatywnych, narodowych, tradycjonalistycznych wymaga jedności i silnego przywództwa.

Zagrożenia

Jednak także w warstwie sposobu zarządzania partią bez trudu dostrzec można odmienności, Orbán rzadko eliminuje

najbliższych współpracowników. Jeśli któryś z nich wyrośnie na zbyt duże zagrożenie, jest chwilowo odsyłany na mniej wartościowe stanowisko. Nie oznacza to jednak degradacji czy tym bardziej końca kariery. Orbán ze swoimi potencjalnymi przeciwnikami się nie rozstaje, woli ich kontrolować.

Kaczyński oswojony z brutalnymi realiami polskiej polityki toleruje w swoim otoczeniu tylko najwierniejszych działaczy. Jako przedstawiciel opozycji, od dłuższego czasu pozbawiony sposobności kształtowania polityki kadrowej państwa, stoi w pewnym sensie na straży zwartości własnego ugrupowania. Nauczony doświadczeniem – z różnym zresztą skutkiem – próbuje unikać niepewnych partnerów.

Jest więc jedna zasadnicza różnica określająca miejsce obu polityków i siłę ich wpływu na wzmacnianie państwa. Tą różnicą jest realna siła politycznych obozów. Siła mierzona nie tyle ilością wyborców, ile zakresem wpływów Fideszu i PiS na aktywność publiczną obywatela oraz penetracją środowisk tworzących instytucjonalną otoczkę partii. Orbán stworzył małe imperium instytucji, środowisk, biznesu. Nie uniknął zresztą mniej lub bardziej rzeczowych oskarżeń o relacje korupcyjne.

Szef PiS raczej stroniący od biznesowego lobby nie myślał w kategoriach budowania polityki w powiązaniu z wielkim majątkiem. Pozostało mu zatem pole idei, decydowanie o metapolityce, tworzenie pojęć, wokół których toczy się obecnie debata publiczna. To aż tyle i tylko tyle. Cena płacona za taki wybór jest bowiem ogromna – to kompletna i postępująca stagnacja państwa właściwie niemal w każdej sferze spraw publicznych, od służby zdrowia po pozycję międzynarodową Warszawy.

Strukturalne ograniczenia

Być może jeszcze istotniejsze znaczenie mają ramy prawne organizujące porządek i charakter władz w obu państwach. Wzgląd na ogólne warunki, w których toczy się polityczny spór, każe wrócić do momentu założycielskiego. Jak przekonywał w swojej książce „Nieformalna demokracja” Artur Wołek, w warunkach węgierskich doszło do swego rodzaju porozumienia liberalnej części komunistów z opozycją.

Reguła ciągłości poskutkowała ustaleniem dość przewidywalnej konstrukcji systemowej. Oblicze zmiany systemu, choć z jednej strony ograniczyło działania w zakresie lustracji i uniemożliwiało dekomunizację, wytworzyło sytuację w której obie strony budowały nową starą rzeczywistość. Pomimo różnego rodzaju kompromisów pozwoliło to na klarowne wskazanie najważniejszych podmiotów władzy.

Jak przekonuje Wołek, okrągłostolowe ustalenia w Polsce kierowały się janusową logiką uznania. Niejednoznaczność polegała na pozostawieniu części aktywów reżimowej władzy przy jednoczesnym tworzeniu zasadniczo nowych treści politycznych. Tak np. dość długo utrzymywało się przekonanie o słuszności sytuacji, w której przedstawiciele opozycji zajmują jedynie ministerialne szczeble władz. Pozostałe poziomy władzy były nietknięte.

To jest moment zawiązania węzła gordyjskiego polskiej polityki, który prowadzić będzie do logiki blokowania władz. Nieoczywistość rzeczywistych praw rzą-

dzenia prowadziła do wzajemnych walk prezydenta, rządów i parlamentów.

I choć Węgry również stawały się areną walk władz o media czy ustawy lustracyjne i rekompensacyjne, przyjęta forma transformacji ułatwiła i przyspieszyła ewolucję politycznych obozów. Pole manewru kolejnych rządów okazało się znacznie szersze, a tworzenie rządowych koalicji z konstytucyjną większością 2/3 częstsze (lata 1994, 2010).

Nasz węzeł gordyjski wyprowadził natomiast polską politykę na manowce niewydolności strategicznej i impotencji w zmaganiu z kryzysami. Węgierska ugoda, choć wątpliwa moralnie, otworzyła furtkę dla przyszłego prawdziwie decyzyjnego rządu.

Dekada Orbána

Niedzielne wybory parlamentarne na Węgrzech potwierdziły wieloletnią dominację Fideszu w sondażach popularności. Choć ostateczne wyniki będą znane dopiero w sobotę, już dziś wiadomo, że Viktor Orbán otrzymał kolejny, ogromny mandat zaufania społecznego. Wynik znacznie powyżej 40 proc. po przeliczeniu na liczbę mandatów poselskich daje realną szansę na utrzymanie konstytucyjnej większości 2/3.

Rezultat ten jest zaprzeczeniem tezy o wyborczej nieracjonalności głębokich reform politycznych. Węgry dowodzą, że postpolityczność z wszelkimi jej przyzwyczajeniami nie jest receptą na triumf. Stawką w grze politycznej nadal mogą być ekonomiczna suwerenność, rehabilitacja państwa czy narodowe przebudzenie.

Gulaszowa demokracja

Z Tamásem Borosem
rozmawia Aleksandra Rybińska



TAMÁS BOROS

Dyrektor budapeszteńskiego think tanku Policy Solutions

Na Węgrzech wciąż mamy wybory, nikogo nie wtrąca się do więzień, opozycja może działać swobodnie. Tyle że Orbán nie jest politykiem, który ma moralne skrupuły w dążeniu do utrzymania władzy.

Fidesz wygrał wybory parlamentarne, choć z o wiele gorszym wynikiem niż cztery lata temu. Premier Viktor Orbán twierdzi, że ponownie odniósł zwycięstwo przy urnach, bo „Węgry są bardziej zjednoczone niż kiedykolwiek”. Lewicowa opozycja mówi, że dlatego, iż zmienił ordynację wyborczą na swoją korzyść. Kto ma rację?

Ani jedni, ani drudzy, choć opozycja jest zdecydowanie bliżej prawdy. Fidesz stracił wiele głosów w porównaniu do 2010 r., a dokładniej ponad 600 tys. głosów. To ok. 20 proc. elektoratu. To najniższe poparcie, które partia Orbána odnotowała od ponad piętnastu lat. Nigdy jeszcze żadne wybory parlamentarne nie zostały na Węgrzech tak zdecydowanie wygrane przy tak niskim poparciu. To daje do myślenia. Węgry nie są więc wcale zjednoczone, tylko opozycja jest rozbita, sfragmentowana. Ci, którzy chcieli zmiany władzy, mieli do wyboru sojusz składający

się z różnych partii lewicy, skrajną prawicę i Zielonych. Czyli wiele małych partyjek zamiast jednej, dużej opozycyjnej siły i to zadziałało na korzyść Fideszu. Głosy się rozproszyły. Kolejnym powodem jest to, że zmiana ordynacji wyborczej, w tym obowiązek rejestracji wyborców i „premia” dla zwycięzcy, spowodowała, że Fidesz przy mniejszym poparciu otrzymał podobną liczbę mandatów. Co nie oznacza, że wygrali wyłącznie dzięki temu. Fidesz ma wciąż duże poparcie wśród ludności, a w każdym razie o wiele większe niż pozostałe partie. Blisko 2 mln Węgrów oddało na nich głos. To wielki polityczny sukces dla nich i wielka porażka dla opozycyjnej lewicy.

Jeśli chodzi o węgierską lewicę, to dokąd ona zmierza? Wydaje się, że nie podniosła się od chwili, gdy straciła władzę i musiała przyznać, że zrujnowała węgierską gospodarkę i okłamywała obywateli...

Kiedy Fidesz w 2010 r. po ośmiu latach rządów odsunął socjalistów od władzy, wpadli, można powiedzieć, do czarnej dziury. To była kompletna porażka, wizerunkowa, polityczna. Wtedy wszyscy mówili o końcu Partii Socjalistycznej. Patrząc na to z tej perspektywy, poradzili sobie nie najgorzej. Przeżyli i nieco się wzmocnili, wbrew prognozom. Zgarnęli w obecnych wyborach 20 proc. więcej głosów niż w ostatnich, choć to oczywiście wciąż mało, za mało. Prawdopodobnie wypadli by o wiele lepiej, gdyby nie popełnili wielu błędów, z których najważniejszym było podpisanie paktu wyborczego z rozłamowymi grupami na lewicy kierowanymi przez skompromitowanych byłych premierów Ferencu Gyurcsanyego i Gordona Bajnaia. To oni doprowadzili Węgry na skraj gospodarczej ruiny. Ludzie im tego nie zapomnieli.

Węgierska opozycja twierdzi, a Unia Europejska się w dużej mierze z nią zgadza, że Orbán stworzył system klientelistyczny na Węgrzech, ograniczył wolność słowa, zmniejszył uprawnień Trybunału Konstytucyjnego i podjął wiele innych działań, by zapewnić sobie władzę. Czy ta krytyka jest uzasadniona? A jeśli tak, to dlaczego głosy protestu, które słychać, są tak słabe?

Mamy tu dwie strony medalu: gospodarkę i państwo prawa. Orbán bardzo dobrze wie, że Węgrzy są materialistami. Jeśli poziom życia będzie rósł, to ludzie będą wspierać rząd. Jeśli się pogorszy, to zagłosują na kogoś innego. Tylko niewielka część węgierskiego społeczeństwa interesuje się polityką. Orbán ogranicza więc uprawnienia Trybunału Konstytucyjnego, wystawiając na szwank system hamulców

i równowagi, majstruje przy konstytucji i prawie medialnym, bo może. Tak długo jak daje ludziom to, czego chcą, oni nie będą mu w tym przeszkadzać. To polityka krótkoterminowa, nastawiona na zaspokajanie bieżących społecznych potrzeb. Nie obchodzą go demokratyczne wartości. Jego interesuje tylko władza, a tę zapewniają mu ludzie przy urnach.

Orbán kiedyś powiedział, że przeciętni Węgrzy nie czytają „Financial Times”, więc nie musi się przejmować, co tam o nim piszą

Przytoczę przykład: Kiedy Orbán wdał się w spór z Komisją Europejską, zaczął uderzać w zdecydowanie eurosceptyczne tony. Szybko okazało się jednak, że Węgrzy są zdecydowanie proeuropejscy. Od razu zmienił śpiewkę. Stał się może nie pronijny, ale proeuropejski. Zaczął podkreślać, że miejsce Węgier jest w UE. Mówił to, co ludzie chcieli usłyszeć. Można go więc spokojnie nazwać populistą, a obecny węgierski system nieliberalną demokracją. Bo to wciąż demokracja. Wciąż mamy wybory, nikogo nie wtrąca się do więzień, opozycja może działać swobodnie. Tyle że Orbán nie jest politykiem, który ma moralne skrupuły w dążeniu do utrzymania władzy i na pewno nie będzie się przejmował czymś takim jak demokratyczne zasady. I to należy mieć na uwadze.

Orbán wdał się w ostatnich latach w poważny spór m.in. z Unią Europej-

ską i Międzynarodowym Funduszem Walutowym, co spowodowało, że chwilami był dość osamotniony na arenie międzynarodowej. Zdecydował się więc na zbliżenie z Rosją. Co kryje się za tym nowym otwarciem na Wschód?

Wszystko, co Orbán robi, czy to na arenie międzynarodowej, czy na froncie domowym, służy wzmocnieniu jego pozycji. W tej chwili usiłuje balansować złe relacje z Unią dobrymi z Rosją. Węgierski premier uważa, że swoista równowaga między Wschodem a Zachodem wzmocni pozycję kraju. Węgry mają być postrzegane jako silny kraj w UE z równie silnymi więziami na Wschodzie. Drugi powód zbliżenia z Rosją jest nieco bardziej pragmatyczny. Orbán potrzebował wysokiej pożyczki i miał do wyboru MFW, który w zamian zażądałby cięć budżetowych, bądź pożyczki od jakiegoś kraju, który nie obwarowałby jej zbyt surowymi warunkami. Na cięcia budżetowe nie mógł się zgodzić, bo pogorszenie sytuacji ekonomicznej w kraju odebrałoby mu szanse na reelekcję. Wybrał więc pożyczkę od Rosji. W zamian Putin zażądał wejścia rosyjskich firm na węgierski rynek. Rosja zbuduje na Węgrzech m.in. elektrownie atomowe. To wybór strategiczny, bo to zapewni mu popularność.

Krytyka płynąca z różnych stron go nie obchodzi?

Zupełnie. Nie interesuje go, co myśli o nim wąskie grono węgierskich intelektualistów czy zagraniczne media. Bo to nie oni będą głosowali na niego w wyborach. Orbán kiedyś powiedział, że przeciętni Węgrzy nie czytają „Financial Times”, więc nie musi się przejmować, co tam o nim piszą.

Orbán przyjął strategię obrony obywateli przed monopolami i obcym kapitałem. Obłożył międzynarodowe koncerny podatkami i spowodował, że wiele zagranicznych banków wycofuje się z Węgier. Czy ta strategia popłaci długofalowo?

Przy pomocy tych wszystkich sztuczek, czyli walki z unijnymi biurokratami i międzynarodowym kapitałem, udało mu się ukryć rzeczywiste problemy gospodarcze kraju. I ludzie znów na niego zagłosowali. W rzeczywistości jednak sytuacja gospodarcza wcale nie jest taka różowa.

Kraj od dwóch lat balansuje na granicy recesji. Fidesz obiecał stworzenie setek tysięcy miejsc pracy, ale ich nie stworzył, bo zagraniczny kapitał wobec wrogiego nastawienia władz w Budapeszcie woli omijać Węgry. Strategia ta ma więc swoje granice. Oczywiście jest wielu ekonomistów, którzy twierdzą, że to coś więcej niż populizm. Że metody Orbána na dłuższą metę ożywią gospodarkę. Nie jestem ekonomistą, więc wolę nie stawiać żadnych prognoz. Jeśli gospodarka się zdecyduje podnieść do czasu następnych wyborów, może się okazać, że Orbán miał rację. Na razie na ocenę, czy to tylko populistyczne sztuczki, czy głębokie reformy, jest jeszcze za wcześnie.

Podczas gdy Fideszowi nieco zmalało poparcie, skrajnie prawicowemu Jobbikowi wzrosło. Jak pan to tłumaczy, biorąc pod uwagę, że to prawica rządzi na Węgrzech?

Jobbik zdobył 100 tys. głosów więcej niż w 2010 r. To na razie tylko lekki wzrost. Jednak Jobbik może być niebezpieczny na dłuższą metę, bo naśladuje strategię

francuskiego Frontu Narodowego. Złagodził swą retorykę i swe metody, ukrywając fakt, że jest ksenofobiczną i antysemicką partią. Zaprezentował podczas kampanii wyborczej bardzo umiarkowany profil. To przysporzyło mu spore grono nowych zwolenników. Politycy Jobbiku mają powiązania z neonazistami, którzy co roku świętują urodziny Hitlera. W środku są więc wciąż w gruncie rzeczy neonazistowską bojówką, ale na zewnątrz starają się o wizerunek demokratów.

Niektórzy z nich podczas kampanii, niczym Putin, przytulali małe, puszyste pieski i kotki. To było naprawdę wzru-

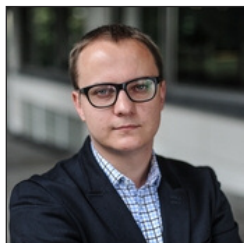
szające. Przekaz był prosty: jesteście fajni i wszystkich was tak przytulimy. Uwierzyli w to szczególnie ludzie na prowincji i w małych wsiach, gdzie reformy Orbána zupełnie nie są odczuwalne. Nie ma pracy, a wysokie ceny, spowodowane m.in. dotkliwą podwyżką podatku VAT, dają się ludziom we znaki. Ludzie mają tam dość Fideszu, bo uważają, że nic dla nich nie zrobił, oraz socjalistów, bo to oni doprowadzili do tej sytuacji. Ci ludzie nie głosują na Jobbik, dlatego że ta partia to faszystki, tylko dlatego, że nie mają na kogo głosować. Chcą realnych zmian i Jobbik im to obiecuje.



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Redaktor „Nowej Konfederacji”,
publicystka wPolityce.pl

Smoleński zbuk



BARTŁOMIEJ RADZIEJEWSKI

Redaktor naczelny „Nowej Konfederacji”

Ta katastrofa to smród z wmurowanego przez złośliwego architekta w rodzinne gniazdko zgniłego jaja. Wprawdzie niektórzy mówili od dawna o instytucjonalnej gangrenie polskiego państwa. Ale kto ich słuchał?

Najpierw była groza. Zbiorowy metafizyczny lęk, jak to ujął Dariusz Gawin. Rozleniwiona przekonaniem o „końcu historii” i paroletnim gadaniem o niczym w telewizjach populacja nagle uświadomiła sobie, że skoro 96 tak ważnych osób ginie w przypominających Trzeci Świat okolicznościach, to państwo nie działa. A skoro nie działa, to jednak nie ma gwarancji bezpieczeństwa i wolności. A zatem każdy z nas może skończyć podobnie jak pasażerowie tupolewa.

Potem była niezwykła żałoba i eksplozja rozsądku w debacie. Zaczynało się przebijać przesłanie, że w „tym państwie” nie działają podstawowe mechanizmy. Że właściwie nie wiadomo, kto odpowiada za organizację wyjazdów najważniejszych ludzi, bo teoretycznie to działka KPRM, ale mówiące o tym przepisy są od lat martwym prawem. Że nie ma w tym krzty planowania i koordynacji, skoro państwowe dokumenty krążą jak śmieci na wietrze, a jacyś idioci ulokowują aż tyle ważnych osób w jednym samolocie. Że Biuro Ochrony Rządu jest parodią samego siebie,

skoro nie sprawdza docelowych lotnisk przed wylotem, a w razie tragedii oficerowie tak bardzo nie wiedzą, co robić, że – jak jeden z nich mówił – zdają się na bardziej doświadczonych Rosjan.

Polska stanęła po Smoleńsku wyraźnie w jednym szeregu z takimi krajami jak Panama, Rwanda i Bośnia, gdzie zdarzyły się podobne katastrofy. Okazała się – tym razem już nie teoretycznie – przerażająco słaba i bezradna. Tak dalej być nie może – myśleliśmy coraz częściej.

Smoleńsk był jak smród z wmurowanego przez złośliwego architekta w rodzinne gniazdko zgniłego jaja. Wprawdzie niektórzy okularnicy od lat mówili o instytucjonalnej gangrenie polskiego państwa, przestrzegali, że w gorszej chwili może być z tego tragedia. Ale kto by ich słuchał, skoro woda leci z kranu, a pieniądze wyskakują z bankomatu. Domownicy musieli dławić się smrodem zbuka – którym była śmierć prawie setki ważnych osób w odrażających okolicznościach – żeby przejrzeć na oczy.

Po czterech latach od tragedii nikt jednak państwa nie naprawił. Nie jesteśmy

nawet wiele mądrzejsi w kwestii przyczyn katastrofy. Wiemy za to trochę więcej o sobie samych.

Kto uwierzył w rychłą naprawę Rzeczypospolitej, napędzaną ozdrowieńczym szokiem po Smoleńsku (i ja należałem do tych naiwniaków) – srodze się zawiódł. Platforma Obywatelska wraz ze skupionym wokół niej okrągłostołowym establishmentem poszła w negację. Negację dążeń do wyjaśnienia katastrofy, odzyskującego wigor PiS, rodzącego się mitu Lecha Kaczyńskiego.

Z perspektywy czasu widać wyraźniej niż wtedy, że inaczej być raczej nie mogło. Bo jak zauważył Paweł Soloch, wykorzystując posmoleńską szansę na zmianę ustrojową, PO musiałyby podwójnie uderzyć we własne interesy. Po pierwsze, musiałyby zmienić typ przywództwa z „transakcyjnego” na reformatorski. Po dojściu do władzy Donald Tusk oparł się na grupach interesów (w dużej mierze antyrozwojowych) dobrze urządzonych w polskim status quo. Odrobienie smoleńskiej lekcji i pójście w stronę naprawy państwa oznaczałoby więc dla niego uderzenie we własne zaplecze. I to w przeddzień wyborów.

Po drugie, gdyby PO przyjęła w punkcie wyjścia program wyjaśnienia przyczyn katastrofy, musiałyby rozliczyć także sama siebie. A przecież do lądowania prezydenckiego tupolewa w tak fatalnych warunkach przyczynili się nie tylko Tomasz Arabski czy gen. Janicki, lecz także (poprzez wejście w sufłowany przez Putina scenariusz rozdzielenia wizyt prezydenta i premiera) Radosław Sikorski i sam Tusk.

Poszli więc panujący w zaparte: we wspomnianą negację, w brednie o „państwie, które zdało egzamin”, w dezawuowanie przeciwników. Poszli też w typową dla III RP „zinstytucjonalizowaną nieod-

powiedzialność” – awanse, brak konsekwencji lub przeniesienia na inne odcinki współodpowiedzialnych za przebieg smoleńskich zdarzeń.

Ale przecież nawet najbardziej powołane do odrobienia smoleńskiej lekcji Prawo i Sprawiedliwość nie robi tego, co trzeba. Zamiast szukać instytucjonalnych przyczyn katastrofy i głosić program remontu państwa, mówiąc o Smoleńsku, sprowadza go wyłącznie do win polityków PO.

**Kto uwierzył w rychłą
naprawę Rzeczypospolitej,
napędzaną ozdrowieńczym
szokiem po Smoleńsku
(i ja należałem do tych
naiwniaków) – srodze się
zawiódł**

Dlaczego? Raz, że to piarowsko wygodniejsze. Jak mówi Jan Rokita, „strategia oskarżania Tuska o zdradę, na granicy udziału w morderstwie smoleńskim, jest oczywiście społecznie ogłupiająca, niszczy racjonalną tkankę społeczną, destrukuje debatę publiczną, natomiast jest efektywna, bo mobilizuje własnych zwolenników i osłabia morale przeciwników. I to ta strategia, a nie strategia uśmiechania się, łagodności i sympatii, doprowadzi Kaczyńskiego pewnego dnia do władzy”.

Jednak jest również drugi powód. Instytucjonalna gangrena, która legła u podstaw katastrofy – niezależnie, czy był to wypadek, czy zamach – nie obciąża przecież tylko PO, ale wszystkie rządy po 1989 r; łącznie z gabinetami PiS. W latach

2005–2007 całe to trzecioświatowe dzia-
dostwo, które 10 kwietnia 2010 r. zebrało
swoje tragiczne żniwo, też istniało. Także
dlatego PiS wybiera narrację personalną
zamiast instytucjonalnej.

Inne środowiska są zaś albo zbyt sła-
be, albo za mało zainteresowane przeko-
pywaniem fundamentów w poszukiwaniu
zbuka. Zamiast tego doświadczamy więc

nieustannego wietrzenia domu przez nie-
dorosłych do swojej roli gospodarzy. Ba-
gatelizacja i personalizacja Smoleńska są
różnymi na to sposobami. Odór maleje,
sumienia się uspokajają.

Ale jednak smród zgnilizny całkiem
nie znika. Nie może. I w tym cała nasza
nadzieja, że wreszcie kiedyś zmobilizuje
nas to do remontu naszego domu.

Rwanda. Zbrodnia neokolonialna



WITOLD KIEŻUN

Profesor nauk ekonomicznych, teoretyk zarządzania

Mija 20. rocznica wielkiej masakry. Po całej serii krwawych zająć i wojen, jakie odwiedziły Rwandę, Ugandę, Burundi i Kongo, zwycięzcami okazali się tylko handlarze bronią oraz wspierające ich koncerny.

W 1962 r. Rwanda i Burundi były jednym krajem administrowanym z ramienia ONZ przez Belgię. Praktycznie rzecz biorąc, była to jednak struktura kolonialna. Oba kraje zamieszkiwały dwie główne grupy etniczne. Tutsi są ludem pasterskim, który prawdopodobnie przywędrował z północy, z Abisynii. Są zwykle wyżsi i mają bardziej pociągłe twarze niż ich środkowoafrykańscy sąsiedzi. Hutu to z kolei plemię typowo rolnicze, pokrewne ludom zamieszkującym Kongo.

W czasach prekolonialnych Rwanda i Burundi był jednym królestwem rządzone przez Tutsi. Król miał jednak zwykle żony i współpracowników pochodzących również z plemienia Hutu, co pomagało zachować kruchą równowagę etniczną.

Niezwykle urodzajne ziemie w połączeniu z łagodnym klimatem tworzyły tu doskonałe warunki dla rozwoju społeczności zarówno rolniczych, jak i pasterskich. Łatwość w zdobywaniu pokarmu pozostawiała zaś wiele czasu na różnorodną działalność artystyczną. Misternie zdobiono

i rzeźbiono nawet proste narzędzia. Powstała tam bardzo ciekawa kultura.

Niestety po kolonizacji ukształtował się bardzo poważny konflikt pomiędzy Tutsi a Hutu. Tutsi, czyli arystokracja, byli bowiem preferowani przez kolonizatorów jako tzw. młodszy partnerzy w zarządzaniu. Było tak zarówno pod rządami Niemców (1883–1916), jak i później Belgów. Wielu z Tutsi zaczęło kończyć studia na Zachodzie, szybko awansowali. Hutu stawali się zaś proletariatem.

Po uzyskaniu niepodległości przez Rwandę w 1962 r. władzę szybko objęli Tutsi, byli oni jednak w zdecydowanej mniejszości. Hutu więc przystąpili do boju i doprowadzili do ucieczki większości Tutsi do sąsiedniej Ugandy, kraju zamieszkanego przez pokrewne im plemię, ale w porównaniu z rwandyjskimi Tutsi nieco zacofane. W Ugandzie znacznie lepiej wykształceni od tubylców uchodzący z Rwandy szybko więc opanowali administrację i wysokie stanowiska wojskowe.

W Rwandzie natomiast zaczęto w dowodach osobistych zaznaczać przynależ-

ność plemienną i ostro dyskryminować tych z Tutsi, którzy tam jeszcze pozostali. Pamiętam, z jak wyraźną niechęcią traktowany był mój jedyny współpracownik z plemienia Tutsi przez ludzi pochodzących z Hutu.

Zarzewiem najbardziej brutalnej fazy konfliktu stało się zaś to, że ugandyjscy Tutsi postanowili odbić Rwandę. Widziałem dokumenty, które niezbitnie dowodziły, że weszli oni w kontakt z amerykańskim przemysłem zbrojeniowym. Wiele z tych dowodów prawdopodobnie nigdy nie ujrzy jednak światła dziennego.

Amerykańskim koncernom Tutsi powiedzieli: „Dacie nam broń, przeszkolicie nas. My uderzymy, odbijemy Rwandę, potem nawiążemy współpracę z Tutsi w Burundi i droga do Konga będzie otwarta; a przecież to jest jeden z najzasobniejszych w surowce naturalne obszarów na świecie!”. Miało im pójść tym łatwiej, że rwandyjscy Hutu dysponowali wyłącznie gorszą bronią sowiecką. W efekcie belgijski i francuski kapitał zniknąłby z Afryki Środkowej.

Oficerowie Tutsi zostali więc przeszkoleni w USA przez tamtejsze koncerny zbrojeniowe. Broń amerykańska była też dostarczana do Ugandy. Już w roku 1991 rozpoczęły się pierwsze ataki ugandyjskiej armii na granicy z Rwandą.

W sąsiedniej Burundi rządzą do 1987 r. Tutsi, po likwidacji przez ich rząd całej struktury Kościoła katolickiego (zamknięte świątynie) i wysiedleniu misjonarzy (także polskich) w proteście miał miejsce zamach stanu. Ostatecznie w wyniku sugestii ONZ i Banku Światowego przeprowadzono wybory i władzę objął prezydent z Hutu. Ja już wówczas zostałem przeniesiony z Burundi do Rwandy. Była to prawdopodobnie sugestia Banku Światowego, bo ja jako kierownik projektu

modernizacji kraju z ramienia ONZ kategorycznie przeciwstawiłem się procedurze wykupywania przez zagraniczny kapitał miejscowych zasobów po śmiesznie niskiej cenie.

Hutyjscy prezydenci Burundi i Rwandy nawiązali bliską współpracę. 6 kwietnia 1994 r. obaj politycy, czyli Juvénal Habyarimana z Rwandy oraz Cyprien Ntaryamira z Burundi, lecieli razem samolotem. Wracali z wizyty w Tanzanii i mieli wkrótce wylądować w Kigali (Rwanda). Samolot został jednak niespodziewanie zestrzelony. Do dziś nie wiadomo przez kogo. Podejrzanie natychmiast jednak padło na Rwandyjski Front Patriotyczny, czyli wspieraną przez Ugandę bojówkę Tutsi.

Widziałem dokumenty, które niezbitnie dowodziły, że weszli oni [oficerowie Tutsi] w kontakt z amerykańskim przemysłem zbrojeniowym. Wiele z tych dowodów prawdopodobnie nigdy nie ujrzy jednak światła dziennego

W Rwandzie do głosu doszło wtedy najbardziej radykalne politycznie skrzydło Hutu, które zorganizowało regularną rzeź pozostających jeszcze w Rwandzie Tutsi. Zorganizowane grupy Hutu z nożami krążyły od domu do domu i kolejno zabijały. Jeśli chodzi o moich pracowników, to zginęli zarówno ci z Tutsi, jak i z Hutu. Ci ostatni pod zarzutem, że współpracowali

z wrogiem. Podobny los spotykał małżeństwa mieszane. Równocześnie na granicy z Ugandą rozpoczęła się ofensywa wojsk z Ugandy.

Sytuacja stawała się niespokojna. Blisko domu, w którym mieszkałem, zainstalował się szczęśliwie oddział francuskich czerwonych beretów. Nawiązałem kontakt z komendantem. Za własne pieniądze sfinansowałem linię telefoniczną do jego sztabu tak, aby można go było powiadomić w razie zagrożenia. Otrzymałem też broń. W nocy osiedle było pod strażą. Po tym, jak zginął mój zastępca, podjęto jednak decyzję o ewakuacji wszystkich pracowników ONZ.

Wkrótce wspierany przez Ugandę Front Patriotyczny Rwandy (bojówka Tutsi) podjął akcje odwetowe i w efekcie zajął całą Rwandę. Bojąc się odwetu Tutsi, ok. 400 tys. cywilów i żołnierzy Hutu uciekło do Konga. Tam też dotarły w końcu siły FPR i armia ugandyjska. Po pierwszej kongijskiej wojnie wspierający Hutu rząd Mobutu Sese Seko upadł. Nowy rząd podjął zaś w porozumieniu z Ugandą decyzję,

by uchodźców z Rwandy fizycznie zlikwidować.

Historię tych zdarzeń opowiedział mi potem zastępca kierownika programu ONZ w Kongo, mój były współpracownik. Muszę przyznać, że wysłuchanie tego było jednym z moich najtragiczniejszych przeżyć. Armia kongijska w ciągu 2–3 dni wszystkich wymordowała.

Tutsi z Ugandy, którzy przejęli władzę w Kongo, nie mówili po francusku. W Ugandzie urzędowym językiem był angielski. Potem angielski stał się podstawowym językiem Afryki Środkowej. Po serii fikcyjnych transakcji cały region z jego bajecznymi bogactwami naturalnymi stał się własnością kapitału anglosaskiego.

Amerykańscy, angielscy i międzynarodowi handlarze bronią oraz wspierające ich koncerny okazały się głównymi zwycięzcami serii krwawych wojen. Dlatego też wciąż twierdzę, że zbrodnicość międzynarodowego kapitału korporacyjnego w niczym nie odbiega od zbrodni stalinowskich.

Ułani, ubecy i umarłe miasto



JOANNA SZWECHŁOWICZ

Doktorantka w Instytucie Literatury Polskiej UW

Niepokoje i dylematy II Rzeczypospolitej, które okiem wytrawnego socjologa przedstawił pisarz, są niczym przy poczuciu wszechogarniającej kłębski towarzyszącej byłemu komisarzowi w nowym ustroju.

Marek Krajewski i Marcin Wroński. Ci dwaj autorzy toczą od kilku lat zaciętą walkę o tytuł mistrza polskiego retrokryminału. Długo niekwestionowanym liderem wyścigu był Krajewski. Teraz zaczyna przeganiać go Wroński. Za nimi zaś kotłuje się całkiem spory peleton dobrych i bardzo dobrych autorów.

Dla czytelników ten wyścig ma zdecydowanie więcej plusów niż minusów. Krajewski i Wroński stworzyli bardzo sugestywne wizje miast dwudziestolecia międzywojennego. Pierwszy Wrocławia i Lwowa, drugi zaś Lublina. Obaj znajdują też rzesze naśladowców; dziś nawet Elbląg ma swoje retrokryminały. I niezależnie od jednostkowej artystycznej wartości poszczególnych książek renesans zainteresowania II Rzeczypopolitą we współczesnej literaturze popularnej jest faktem.

Lata kolorowe i lata ponure

Coraz częściej jednak odbiory retrokryminałów spotykają się z fabułami, których

osią jest zestawienie okresu międzywojnia z pierwszymi latami Polski Ludowej. Nie trzeba oczywiście dodawać, że na tle barwnych lat 20. i 30. pierwsze lata budowania socjalistycznej ojczyzny wypadają na kartach kryminałów ponuro. A i sami bohaterowie, brylujący w II Rzeczypospolitej, jakoś się w nowej rzeczywistości odnaleźć nie mogą.

Przykładem tego ostatnie tomy cyklu Wrońskiego, w tym najnowsza część – „Haiti”. Mamy do czynienia z akcją rozpiętą między 1938 a 1951 r. W retrospekcjach zaś cofamy się aż do wojny polsko-bolszewickiej. Głównego bohatera, lubelskiego policjanta Zygmunta Maciejewskiego, spotyka widowiskowa degradacja: z przedwojennego komisarza staje się ciecieniem na upaństwowionym hipodromie i opiekunem podstarzałej klaczy o imieniu Haiti.

Jest już w zasadzie zadeklarowanym alkoholikiem (zważywszy na liczbę wypijanych trunków, był nim wcześniej, ale przed wojną popadał w nałóg subtelniej i z większym wdziękiem) i samotnym

bankrutem życiowym. Znużony, zmęczony swoją egzystencją, powraca do przeszłości i przedwojennych sukcesów śledczych. Niespodziewanie historia sprzed kilkunastu lat ożywa i dodatkowo komplikuje życie byłego policjanta.

Streszczać dalszej intrygi kryminalnej nie ma oczywiście najmniejszego sensu. Wystarczy stwierdzić, że Wroński skonstruował ją znakomicie, rozgrywając rzecz tak samo umiejętnie na dwóch planach czasowych. Akcja rozpoczyna się w upalny lipcowy dzień 1938 r. Zaraz wojna, ale mieszkańcy Lublina wolą emocjonować się końskimi wyścigami niż przemówieniami Hitlera. Coś wisi w powietrzu, choć czytelnik nie ma pewności, czy to tylko letnia burza, czy coś poważniejszego. Po chwili już nikt nie ma wątpliwości: jest trup. A potem kradzież z kasy pancernej i wiele zwrotów akcji, z których części nawet maniackalny czytelnik kryminałów nie przewidzi. I tak aż do zaskakującego finału.

Powieść mieści się więc pod względem fabularnym w schemacie gatunkowym. Ale interesująca jest przede wszystkim sama przemiana głównego bohatera i degradacja miasta, które wcześniej było areną jego sukcesów. Ani Maciejewskiego, ani przedwojennego Lublina narrator w żadnej części cyklu nie nazywał urodziwymi czy pełnymi wdzięku. Jednak kontrast między pełnym rozmachem (oraz idiotycznych modernizacyjnych planów magistratu, jak stwierdzają bohaterowie) miastem sprzed 1939 r. a Lublinem powojennym jest dojmujący.

Bez szczęśliwych zakończeń

To świat, w którym nie ma co liczyć na happy end. Główny bohater już w poprzedniej części cyklu spotkał się z bliska

z urokami władzy ludowej (w „Skrzydlatej trumnie” już pierwsza scena przynosi obraz katowni UB). O pracy policjanta/milicjanta nie ma oczywiście nawet mowy. Teraz Maciejewski, pozbawiony najmniejszych nawet złudzeń co do komunizmu i swojej przyszłości, zainteresowany jest przede wszystkim tym, by jakoś przeżyć każdy kolejny dzień. Jak cień samego siebie chodzi po terenie dawnych wyścigów konnych. Rozpadający się tor i trybuny są dobrym tłem dla melancholii bohatera, który nie liczy na żadną odmianę losu. Dobrze już było.

Interesująca jest przede wszystkim sama przemiana głównego bohatera i degradacja miasta, które wcześniej było areną jego sukcesów

I choć powrót do międzywojnia nie jest wcale podszyty sentymentem (Wroński demitologizuje choćby zachowanie polskiego wojska podczas starć z bolszewikami), to czytelnik nie ma wątpliwości, że nienawidzący przed wojną arystokracji oraz wielkiego kapitału Zyga wcale nie stał się materiałem na budowniczego nowego ustroju. Niepokoje i dylematy II Rzeczypospolitej, które okiem wytrawnego socjologa przedstawił pisarz, są niczym przy poczuciu wszechogarniającej klęski towarzyszącej byłemu komisarzowi w nowym ustroju.

Można więc książkę Wrońskiego przeczytać jako historię kryminalną, można też podjąć wysiłek i docenić artystycznie sugestywny obraz zmęczonej powojennej

Polski. Wybór należy do czytelnika, ale „Haiti” to na tyle dobra literatura popularna, że aż bardzo dobra literatura w ogóle.

Marcin Wroński
„Haiti”
W.A.B. 2014

Wesprzyj nas

Dzięki Darczyńcom „Nowa Konfederacja” powstała i działa. Dzięki Darczyńcom będzie mogła nadal istnieć i rozwijać się.

Dlatego prosimy o wsparcie! Każda złotówka, jeśli ma charakter stałego zlecenia przelewu, ma dla nas istotne znaczenie.

Wpłaty prosimy kierować na rachunek bankowy wydawcy „Nowej Konfederacji”, Fundacji Nowa Rzeczpospolita:

09 1560 0013 2376 9529 1000 0001 (Getin Bank)

W tytule przelewu prosimy wpisać: „darowizna na cele statutowe”.

Dlaczego warto nas wspierać?

Rynek w obecnej postaci nie sprzyja poważnej debacie o państwie i polityce. Dowodem są wszechobecne i pogłębiające się procesy tabloidyzacji i upartyjnienia mediów opiniotwórczych. Z drugiej strony, zaawansowana wiedza o polityce jest coraz częściej dostępna jedynie dla nielicznych i za coraz większymi opłatami. W Polsce dochodzi do tego problem finansowania wielu ośrodków opiniotwórczych zza granicy i głęboki kryzys mediów (z nazwy) publicznych.

Jeśli ten trend ma się odwrócić, **potrzebny jest alternatywny, obywatelski model finansowania mediów**. Dobrowolny, stały mecenat wystarczająco dużej liczby Polaków umożliwi nam stworzenie prężnego ośrodka intelektualnego. Niezależnego zarówno od partii, od wielkiego kapitału, od gustów masowej publiczności, jak i od zagranicznych ośrodków. I dostarczenie darmowej, zaawansowanej wiedzy o polityce zainteresowanym nią obywatelom.

„Nowa Konfederacja” to (na gruncie polskim) projekt pionierski także pod względem sposobu finansowania. Działamy bowiem właśnie dzięki mecenatowi obywatelskiemu.

Każde stałe zlecenie przelewu jest ważne! **Dołącz do grona naszych Darczyńców i wspieraj media naprawdę publiczne!**

Darowizny na rzecz fundacji są w Polsce (art. 16 ustawy o fundacjach) **zwolnione z podatku**. Co więcej, **podlegają odliczeniu od podatku** zarówno przez osoby fizyczne, jak i prawne, zgodnie z przepisami ustaw o podatku dochodowym od osób fizycznych i prawnych.

O nas

„Nowa Konfederacja” to pierwszy w Polsce internetowy tygodnik idei. Koncentrujemy się na tematyce politycznej o znaczeniu strategicznym. „NK” to medium misyjne, tworzone przez obywateli – dla obywateli. Jako pierwsi w Polsce działamy profesjonalnie wyłącznie dzięki wsparciu Darczyńców.

Stawiamy sobie **trzy cele główne.**

Po pierwsze, chcemy tworzyć miejsce poważnej debaty o państwie i polityce.

Dziś takiego miejsca w Polsce brakuje. Wskutek postępujących procesów tabloidyzacji oraz uzależnienia mediów opiniotwórczych od partii i wielkiego kapitału, brak ten staje się coraz bardziej dotkliwy.

Stąd, w środowisku skupionym dawniej wokół kwartalnika „Rzeczy Wspólne” – poszerzonym po rozstaniu z Fundacją Republikańską w kwietniu 2013 o nowe osoby – powstał pomysł stworzenia internetowego tygodnika idei. Niekomercyjnego i niezależnego medium, wskrzeszającego formułę głębokiej publicystyki. Mającego dostarczać zaawansowanej wiedzy o polityce w przystępnej formie.

Nasz drugi cel to pełnienie roli pośrednika między światem ekspercko-akademickim a medialnym.

Współczesna Polska jest intelektualną półpustynią: dominacja tematów trzeciorzędnych sprawia, że o sprawach istotnych mówi się i dyskutuje rzadko, a jeśli już, to zazwyczaj na niskim poziomie. Tym niemniej, w świecie akademickim i eksperckim rodzą się niekiedy ważne diagnozy i idee. Media głównego nurtu przeważnie je ignorują. „Nowa Konfederacja” – ma je przybliżyć.

Cel trzeci to aktualizacja polskiej tradycji republikańskiej.

Republikanizm przyniósł swego czasu Polsce rozkwit pod każdym względem. Uważamy, że jest wciąż najlepszym sposobem myślenia o polityce – i uprawiania jej. Co więcej, w dobie kryzysu demokracji, jawi się jako zarazem remedium i alternatywa dla liberalizmu. Jednak polska tradycja republikańska została w dużym stopniu zapomniana. Dążymy do jej przypomnienia i dostosowania do wymogów współczesności.

Dlaczego konfederacja? Bo to instytucja esencjonalna dla polskiej tradycji republikańskiej – związek obywateli dążących razem do dobra wspólnego w sytuacji, gdy inne instytucje zawodzą. W naszej historii konfederacje bywały chwalebne (konfederacja warszawska 1573 r., sejmy skonfederowane jako remedium na liberum veto), bywały też zgubne (Targowica). Niemniej, zawsze były potężnym narzędziem obywatelskiego wpływu na politykę.

Dzisiejszy upadek debaty publicznej domaga się nowej konfederacji!

„Nową Konfederację” tworzą

Darczyńcy:

Pięćdziesięciu Pięciu Anonimowych Darczyńców, Jacek Bartosiak, Jerzy Martini, Marek Nowakowski, Krzysztof Poradzisz, Piotr Remiszewski, Piotr Woźny (Lista Darczyńców jest uaktualniana na początku każdego miesiąca)

Redakcja:

Michał Kuź, Bartłomiej Radziejewski (redaktor naczelny), Aleksandra Rybińska, Przemysław Skrzydelski (p.o. sekretarza redakcji)

Redaktor prowadzący:

Michał Kuź

Stali współpracownicy:

Jacek Bartosiak, Michał Beim, Krzysztof Bosak, Tomasz Grzegorz Grosse, Maciej Gurtowski, Bartłomiej Kachniarz, Krzysztof Koehler, Andrzej Maśnica, Rafał Matyja, Anna Mieszczanek, Barbara Molska, Agnieszka Nogal, Tomasz Pichór, Adam Radzimski, Stefan Sękowski, Zbigniew Stawrowski, Tomasz Szatkowski, Stanisław Tyszka, Krzysztof Wołodźko, Piotr Woyke

Grafika (okładki):

Piotr Promiński

Administracja stroną internetową, korekta, redakcja stylistyczna:

Przemysław Skrzydelski

Komunikacja internetowa:

Michał Kuź

Skład:

Rafał Siwik

Wydawca:

Fundacja Nowa Rzeczpospolita

Kontakt:

redakcja@nowakonfederacja.pl

Adres (wyłącznie do korespondencji):

Al. Solidarności 115, lok. 2, 00-140 Warszawa